

## Zbaczniactwa...

NIE MAJA  
WIĘKSZYCH  
KŁOPOTÓW

Prasa podała, że Ministerstwo Spraw Wewnętrznych zatwierdziło odmowne podanie kilku gmin wiejskich o udzielenie im prawa do używania własnych herbów. Decyzja ta umotywowana została znacznym historycznym herbem, gdyż heraldyka polska nie znała podobnych odznaczeń wsi, a z herbów korzystały wyłącznie miasta, bądź też określone ziemie.

Bardzo się tą notatką ucieszyłem. Świadczy ona, że nasze gminy wiejskie nie mają już żadnych innych zmartwień, jak tylko troszczyć się o herby.

Widocznie już na wsi znika zupełnie bezrobocie. Chłopi płacą punktualnie podatki, jadają co najmniej raz na mieście mięso, a nawet używają codziennie soli i to nie bydlęcej, a ludzkiej. Prawdopodobnie znikły już z naszych dróg wiejskich wszystkie bajory i rozłopy i samorząd wolny od wszelkich kłopotów, mający nadmiar pieniędzy w kasie, może spokojnie szturmować ministerstwo o herb.

A widocznie i w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych wszystko również dobrze się dzieje, jeżeli takie rzeczy rozpatruje na serio, miast pouczyć podległe sobie gminy, że mają inne pilniejsze sprawy. Szczęśliwy ten samorząd!

B. REZA

Prymaria w Leżajsku  
przed cudownym obrazem Matki Boskiej

Gościńcem do Leżajska zjeżdżamy w dolinę, a potem znów pod górę, która wałem długim, garbatym wnosi się jak fala, pierwsza, druga, dziesiąta. Daleko niesie się z góry wzrok, na dwadzieścia wiorst i na więcej, oblatuje dookoła swobodnie szachownice małych, biednych chłopskich poletek, poprzecinane długimi i grubymi gasienicami wsi.

Jest jeszcze wcześniej, ledwie przeciera się półny, jesienny świt, wieś jednak zaczyna się ruszać, wstają nad nią mdle, siwe dymy, oznajmiając porę gotowania śniadań.

## KURNE CHATY

— Ta wieś chyba się pali? — mówi ktoś nagle.

Rzeczywiście, chaty pobliskiej wsi dymią całymi strzechami.

— Iiii... nie — zabiera głos milczący dotąd furman. — Ta ino chaty dymne, jeszcze na staropolskie mode budowane, wieś ano kładna, to nowych nie popostawiali. Widzi panienka, ta tu wszystkie takie same, w ty wsi i w tamty — zaczął batem po powietrzu w stronę dalekich chat.

A więc kurne chaty. W każdej na prawo „izba mieszkalna“, na lewo stajnia, obora, chlew sachalom. Komina nie ma, dym wychodzi przez dziury w dachu.

## KLASZTOR

Droga wydłuża się w nieskończoność, zawraca między górami, odbija wiorstami na pobocznych

wsiach i rozstajach, aż wreszcie w monotony chrzęst kół i stukot kopyt gościńcu, wpada głos furmana:

— Ot i Leżajsk...

Zostawiamy miasto po boku, zwracając od razu do klasztoru, wyniosłą bazyliką górującą nad miastem i okolicą. Wokoło zabudowań szeroko rozsiadłych na grzbiecie wzgórz, ciągnie się stary, obronny mur z szeregiem wąskich, wysokich strzelnic.

W klasztornym podwórku, obstawionym czarnymi konfesjonami cicho jeszcze i tylko nasze kroki klekoczą głośnie po kamiennych taflach wydeptanych już setkami nóg. Za najmniejszym szelestem wstaje gdzieś z kątów wzdychające echo i podawane od ścian do ścian rozłukuje się w drobny mak.

W kaplicy Obrazu Cudownej Leżajskiej, kłęczy kilka bab w „dybetkowych“ i „gunfrowanych“ spódnicach. W kącie pod chórem przystanął chłop w burej kapocie z pod której otokiem białym wygląda na wierzch z portek wyszczona koszula.

## CUDOWNY OBRAZ

Wielki kościół tonie w mroku, trochę widnieć jest tylko w kapturze od wielu zapalonych świec.

Grają srebrne trąby fanfary i dzwonią cienko małe dzwoneczki, kiedy odśpiewa się Cudowny Obraz. Wyszli mniich ogolony z prymarią, zaklekał drzewianymi sandałami po posadzce, do ołtarza przystąpił.

— O, Maryjo! — szeptał głośny, wnikliwy idzie po kościele, zgromadzeni ludzie przypadają czołem do ziemi.

Z pod ciężkiej korony patrzą w przestrzeń smutne oczy Panny Cudownej. Płomyki świec wysokich, obsadzonych w ozdobne kutych kandelabrach, migają ogniem po Jej srebrnej sukience. Z wysoka, z nad ołtarza patrzy na swój lud zadziwna Najświętsza Panienka.

Przyszła do tego ludu sama, objawiła się na tym miejscu małemu pastuszkowi o powidziała mu, że chce, aby tu stała Jej kościół. Wojewoda Łukasz Opaliński, wdzięczny również za ocalenie z rąk śmiertelnego wroga Stanisława Stadnickiego na Łańcucie, „Łańcuckiego Diabła“, wystawił Jej bazylikę i klasztor, osadzając tu oo. Bernardynów. Umieszczony w bazylice obraz Swój, Matka Boska cudem łask obdarowała, i czeka ciągle od lat na głos wiary w nią, głos, który wynosi się z tłumu, nad ołtarz do Niej przychodzi domagać się zmiłowania.

— ...qui tollis peccata mundi, suscipe deprecationem nostram... ekstatycznie szepce mnich z wyciągniętymi rękami.

— Zdrowaś Maryja... — modli się w głos jakaś babina.

— Pod Twoją obronę — intonuje organista i już wszyscy śpiewają, aż dech szeroki z kłębiastą falą pieśni idzie na ołtarz.

Mignęła kadzielnica złota kutą koronką kształtu, dym siwy spiralami ciężkiej woni dźwignął się pod obraz, przewinął kolorami z witrażów, błękitem mdłym rozwinął się pod bogatymi freskami sklepienia.

Wychodzimy z kaplicy pod wrażeniem dotykanej prawie cudowności. W leżajskim klasztorze nie można głośno mówić. Jedyny hałas, to kłopotanie mnisich sandałów po kamiennych podłogach.

Leżajskiej bazylice nie brak co by mogło podnieść Jej świetności. Bogactwo złotych ornamentów przytłacza, w ołtarzach widać obrazy Van Dycka i Rubensa, kunsztownie rzeźbione stalle, całe są inkrustowane w żwirze wzory, a organy, jedne z najwspanialszych w Europie, mają tylko tę „wadę“, że nie można na całych ołtarzach grać, bo... mury mogłyby się zarysować od huków.

Naprawdę po królewsku mieszka Cudowna Leżajska, aże każdy ma zawsze do Niej przystęp. Z karłowatych, małopolskich gospodarzy szczyrzy zęby głód. Kto pomoże, kto poradzi w niedoli, jeśli nie Ona? I kto reszty kraju nie ostoi przed złym wiatrem ze Wschodu — jeśli nie Ona?

A. R. K.

„Lato w Nohant“  
w Teatrze Polskim

Piękna, wzruszająca sztuka J. Iwaszkiewicza o Chopinie i George Sand „Lato w Nohant“ wznowiona będzie na parę przedstawień w Teatrze Polskim i ukaże się tam trzykrotnie: w niedzielę na przedstawieniu popołudniowym o godzinie 3.30 oraz w poniedziałek i wtorek wieczorem.

## Malarz i grafik

## Wystawa Andrzeja Jurkiewicza z Krakowa

Nie jest bez pożytku organizowanie pierwszych wystaw artystów, w tych warunkach kiedy dla publiczności malarz nie istnieje jeszcze jako nazwisko a kiedy prace muszą mówić same za siebie. Bo dla tych, którym kierownictwo salonu Garlińskiego (Mazowiecka 8) pokazało prace Andrzeja Jurkiewicza nie jest wcale ważne, że jest on obecnie asystentem przy katedrze grafiki krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych i że w czasie swoich studiów pracował u najznakomitszych profesorów, jacy w Krakowie wykładają, a więc u Jarockiego, Pautscha i Weissa. Prostu słońcem, jaki budzi się zawsze w związku z wystawami, krytyką i pierwszym, a zwykle decydującym upodobaniem publiczności nie wymaga jeszcze, aby wypadało mieć w domu coś z malatury i grafiki Jurkiewicza.

Niezależnie bowiem od wystaw i zupełnie poza nimi o malarzu urabia się zawsze pewna opinia i widz, oceniając obraz, bardzo często, choć nie zawsze, patrzy nań kryteriami owej opinii. Ba, zdaje się nawet, że widz kupuje obrazy wbrew najbardziej oczywistej logice i wbrew własnemu przekonaniu. Taki przykład mieliśmy na jednej z tegorocznych wystaw Zachęty, gdzie ludzie wobec prac jednego ze starszych artystów, mieli wyraźnie zakłopotane miny, a jednak nie zdarzyło mi się widzieć ani przed tym, ani po tym tak wielkiej ilości zakupów.

Wystawy w ogóle, a w szczególności w naszym klimacie taro osobliwych, dają w wysokim stopniu sztuczność i niezdrową atmosferę, nie mówiąc już o tym jak nieprzyjemne jest nachcenie, które się wyładowuje tylko po to, aby coś wystawić.

I dlatego nadzwyczajną okazją i dla krytyków, a przede wszystkim dla publiczności, są pierwsze wystawy.

Andrzej Jurkiewicz urządził pierwszą swoją zbiorową wystawę. Pokazał kilkadziesiąt prac graficznych i około 20-tu obrazów olejnych.

Od razu muszę stwierdzić, że mnie bardziej odpowiadała jego grafika i mam wrażenie, że i on sam lepiej w nich się wypowiada. Jego prace mogą wywołać wiele nieporozumień, bo forma w jakiej Jurkiewicz swoje myśli i odczucia wypowiada jest niewątpliwie niecodzienna i wydać się może, że jest to jeden z wypadków, tak często spotykanych, gonienia „nowości“, aby tylko wyróżnić się z pośród innych, choć faktycznie tak nie jest.

Jedną z najbardziej charakterystycznych cech w grafice są subtelne i finezyjne połączenia plam czarnych i białych, a drugą niewątpliwą zaletą jest niezwykle staranna i dobrze przemyślana kompozycja, która jest tym ważniejsza, że Jurkiewicz posługuje się ostrą zagęszczoną kreską i lekkimi, plamowymi ściemnieniami. Taki rodzaj techniki jest ryzykowny i tym cenniejsze jest dobre wyjście z tych wszystkich zagadnień i trudności, jakie nasuwa.

Grafika Jurkiewicza jest rodzajem grafiką. Z tym wiąże się i odpowiednia atmosfera i odpowiednie do każdego tematu podejście. Na duży plus Jurkiewicza trzeba powie-

dzied, że z uchwyceniem cech charakterystycznych dał sobie radę bardzo dobrze. A takie przykłady jak „Kwsta“, „Przekupki z kwiatami“, „Malarz i dzieci“, pokazują, że przy życiu najbardziej prymitywnych środków można błyskotliwie i dowcipnie, a tym niemniej bardzo głęboko uchwycić typy, które będą w całej kompozycji dominowały i które będą dla artysty znaczną pomocą, jeżeli zechce nawet nieprzygotowanemu widzowi, przekazać swoją harmonijność zestawień i układu. Przykują bowiem jego uwagę tak, że chcąc, nie chcąc będzie musiał zareagować i na stronę artystyczną. Może najlepszą pracą, zaprezentowaną na wystawie jest „Tramwaj“, w którym nie zaskodziło nie powiększenie skali natężenia plam, a przeciwnie podniosło walory plastyczne. Poza tym należy zwrócić uwagę na pejzaż zatytułowany „U wodopaju“.

Z obrazów olejnych niewątpliwie najbłężej odczytany i przemysłowy do ostatniego pociągnięcia pędzlem jest obraz p. t. „Dziewczyna“. Tęgo rodzaju sposób ujęcia ma tę dobrą stronę, że wymaga, aby malarz samodzielnie wypowiedział się zdecydowanym zestawieniem kolorów, prezentując całą kulturę i skalę swoich możliwości.

W pejzażu „Na pastwisku“ Jurkiewicz operuje plamami tak, że tworzą barwną mozaikę, dla której pretekstem był sam temat — pasące się krowy. Szczegółowiec się złożył, że Jurkiewicz nie miał tendencji do naturalizowania. Artysta nawet światło podporządkowuje najbardziej bogatemu wypowiedzeniu się kolorystycznemu. I o ile w grafice wypowiada się w stosunkowo wąskich ramach środków technicznych, o tyle jego malarstwo choć może mniej przemawiające pod względem użytych środków jest znacznie zasobniejsze.

Jerzy Stokowski.

## Z EKRANU

## „Tak się kończy miłość“

(KINO HOLLYWOOD)

Film osnuty na tle miłości ks. Modeny i arcyksiężniczki Marii Ludwiki, zmuszonej wyjść za mąż za Bonapartego.

Strona historyczna filmu opracowana bardzo starannie, styl epoki zachowany w całej pełni. Wadą filmu jest zbyt teatralne ujęcie reżysera i co za tym idzie wielka ilość dialogów. Reżyser nie zna pleneru, używa go tylko raz, jako niezbędnego rekwizytu do sceny miłosnej. Całość robi jednak odpowiednie wrażenie, przede wszystkim ze względu na Willy Horsta, który wyłamawszy się z intencji reżysera, rolę swą potraktował realistycznie i żywiołowo. Świetnie odтворzony jest cesarz austriacki, nieco gorzej Metternich. Paula Wessely nie powinna podjąć się roli 19-letniej pani.

Nad program arcywesoła rysunkówka, jak przystało, trzech kotków i słaby, jak zawsze, dodatek PAT'a.

Na zakończenie jedno zapytanie pod adresem dyrektora kina „Hollywood“. Czy kilmy sprzedawane w hallu, nie są przypadkiem żydowskie? (zł)

## List z za kordonu

## o książce Melchiora Wańkowicza

Powtarzamy za „Podbipiętą“ list, jaki redakcja tego pisma otrzymała z Mazurów Pruskich:

Jestem synem mazurskiej ziemi, pracowałem przez całe życie społecznie wśród moich rodaków i znam ich dole i niedole. Wydaje mi się co najmniej dziwne, dlaczego doszło do tego stanu rzeczy, że wielu naszych braci — Mazurów oficjalnie wypiera się języka ojców. W rzeczywistości jednak pielęgnuje go jako skarb najdroższy.

P. Wańkowicz w książce „Na tropach Smetki“ podkreśla, że gdy zbliża się obcy człowiek, Mazur momentalnie przechodzi na język niemiecki. Ja obojętnie znam wielu zażartych hitlerowców nienawidzących Polaków. Jednakże w rodzinie, w gronie osób najbliższych posługują się językiem polskim. Mowa polska ma wprost magiczny wpływ, a

cios jej dłużej wiecnotrwały. Osobiste mam mocne przekonanie, że polski chętnie by się przyznał do wielkości. Gotowi byłiby ponieść w związku z tym daleko idące ofiary, gdyby wiedzieli, że wszystko ma jakiś cel, a ofiary nie idą na marne. A lili tu śmiałków padło ofiarą? Od przykładów aż się roi. Wyżuci z miłania, bici, zrujnowani jako zebrawcy tutaj się po tej biednej ziemi i są najczęściej przedmiotem drwin i uragówiska gawiedzi: „Patrzcie, ten ośmielił się być Polakiem“. Naučení gorzkiem doświadczeniem wyrobili w sobie chytróść i nieufność. — Czy możecie nam się dziwić? Nie wchodzi w polskie przedrozbiorowe grzechy względem nas... Czy dziś zmieniło się na lepsze? Mam wrażenie, że obecnie traktujecie nas raczej dorywczo od czasu do czasu ktoś coś napisze o rodakach — Mazurach. Nie jeden — nawet naszym losem się rozrzuca — i na tym koniec.

Do duszy Mazura nie wchodzi się tak łatwo, na poczekaniu. Najlepiej dowód, że Kajka — ów mazurski słowik nie chciał się z p. Wańkowiczem wdać w rozmowę. Przykro mi niektóre rzeczy poruszać. Największą naszą tragedią — to brak zaufania właśnie do nas samych. My nigdy nie mamy tego poczucia, że w naszej polskiej pracy otrzymamy stałą opiekę i pomoc i z bólem serca patrzemy, jak nasi ziomkowie zmuszeni z powodów od nich niezależnych do opuszczenia Mazur, tutaj się w wolnej ojczyźnie bez chleba. Stąd wyrzuceni — tuż nikomu niepotrzebni. My nie chcemy żadnych nagród za naszą pracę, chętnie oddamy miennie i życie za naszą świętą polską sprawę. Ale musimy mieć pewność, że na

szą pracę poświęcenie nie są próżne i zapewnią nam opiekę i poparcie. Niby się tam coś dla nas robi, ale jakie to wszystko niepewne, zrygoczące, bezprogramowe. Większość idzie samopas, by nas Niemcy pojedynko mogli wykończyć...

Książka p. Wańkowicza, aczkolwiek nie odzwierciedla naszej rzeczywistości, jest pożyteczna. Jesteśmy mu szczerze za to wdzięczni. Zapoznaje rzadziej czytelników chociaż częściowo z naszą ciężką dolą. Ale przy tym mamy wielki żal do p. Wańkowicza, bo ułatwił robotę Smetkowi, podając liczne nazwiska i fotografie poszczególnych osób, które przez to naraził na przeróżne przykrości... Ów Smetek, będący złym duchem mazurskiej krainy, uosobieniem niemieczyny, po wydaniu wspomnianej książki jeszcze więcej się panoszy i bezkarnie, dumnie harcuje po naszej ziemi. Już go nie trzeba tropić...

P. Wańkowicz zrobił wielką przysługę Mazurom — Polakom i mocno zaszkodził polskiej sprawie.

Wartość książki byłaby niewątpliwie większa, gdyby ją oczyścić z samochwalstwa autora, który nieomal na każdej kartce stara się wyliczać swoje czy to zasługi, czy też gdzie już nie był, kim nie był, czego już nie robił! Nawet biedaczysko u Poznaniańczyków ogromne wieńce na szyi nosił (str. 240). Jeżeli zaś o sobie nie pisze, to z pewnością o sławnym Tirilporuku poświęcającym się dla sławnego literata i literatury. Być może, że jest sławnym literatem, ale tym bardziej niepotrzebnie się reklamuje... Nas Polaków wychowanych na Zachodzie to bardzo razi...

S. B.

Szczytno, w październiku 1937 r.

## JACEK BRZEZINA

62)

PANI NA PUSTYNNYCH  
SZLAKACH

## POWIEŚĆ

Zmęczony się i usiadł na kamiennym podmurówaniu, biegnącym wzdłuż całego korytarza.

— Tu poczekamy. Dalej niebezpiecznie iść, gdyż mogliby nas zobaczyć lub usłyszeć.

— Widzę, że nieźle się pan tutaj orientuje.

— Co pan chce? Znam te dziury na pamięć. Pięć dni tutaj się ukrywam. Pani d'Anduston nawet nie podejrzewa, że siedzę w jej własnym, że tak powiem, domu. Szukali mnie po całym mieście i pustyni... — Zasmiał się głośno i echo jego śmiechu pobiegło w dal wzdłuż kamiennych ścian.

Siedzieli chwilę w milczeniu nadsłuchując. Tylko szczury baraszkowały wokoło nich, zaciepiając czasem o nogawki od spodni lub wążac beczelnie na kolana.

— Ze też pana nie zjadły przez ten czas.

— Złego licha nie weźmie. Siedzieli w tej samej dziurze, gdzie pana zamknęli. Nigdy im nie przyszło do głowy mnie tam szukać. Udało mi się odkryć system otwierania drzwi, mogłem więc wobec tego wchodzić i wychodzić z celi kiedy chciałem.

— Jak pan się właściwie dostał tutaj?

Sek roześmiał się.

— Powiem to panu pod warunkiem, że i pan później wyjaśni mi niektóre rzeczy. Siedzieliśmy podczas przesłuchiwań pana przez panią d'Anduston na balkoniku (co pan zresztą zauważył) i słyszałem takie niestworzone historie, że mnie aż głowa od nich rozboleła. Wyjaśni mi je pan?

— Z miłą chęcią. Naprawdę jednak wysłucham pana. Mam jeszcze chyba czas. Która godzina?

— Siódma rano.

— O psia... osiem godzin już tutaj przesiedziałem...

Sprawy zaczynały się coraz bardziej komplikować. Pułkownik gotów już był nadjechać do Abou-Kemalu i co robi, jeżeli nie zastanie Grave'a? Nie było jednak innej rady, jak czekać.

Zapalili papierosy.

— Pamięta pan, jak nie dokończyłem mu pewnego opowiadania — odezwał się archeolog. — To było tego dnia, kiedyśmy się poznali w restauracji. Pani d'Anduston odwołała pana i nie dała mi możliwości powiedzieć panu o moim odkryciu. Odtąd tego dnia rano leżąc w pokoju w hotelu podsłuchiwałem prowadzoną za ścianą rozmowę. Dwóch Arabów rozmawiało o jakimś młynie, w którym mieli się spotkać z nieznanym mi jeszcze wtedy Achmedem. Zaintrygowało mnie to i tegoż jeszcze dnia wieczorem, uniknąwszy bacznego oka nastanego mi przez panią d'Anduston anioła stróża, zdołałem zbadać, gdzie się młyn znajduje. Zna go pan. Dostałem się tam wiadomą panu drogą i odkryłem wejście do tych podziemi. Nie było to takie trudne, zważywszy, że wówczas jeszcze niebardzo mieli się na ostrożności i strażnicy więcej spali, niż pilnowali. To wszystko co do mojego odkrycia, którym niestety nie zdołałem się z panem przedrzeć podzielić.

Wróciłem tutaj nazajutrz po waszym powrocie z Bejrutu. Taksówka dowiozła mnie o parę kilometrów od Abou-Kemalu, skąd nocą piechotą tutaj przyszedłem i nie chcąc być narazem na zemstę wprowadzonej przez pana w błąd pani d'Anduston, ukrywałem się w tych tu oto podziemiach. Proste, nieprawdaż? Trzeba było mieć tylko odrobinę sprytu i chytróści.

Anglik przyznał mu rację. Bez względu na Sek był bardziej sprytny, niż to w jego fachu było potrzebne.

— Co do mnie, to cóż mam panu wyjaśnić? Z góry prze-

prasza, że wpakowałem pana w tę awanturę i podszyłem się pod jego osobę, lecz to było konieczne. Musiałem sam pozostać w cieniu...

— Tylko bez przeprosin. Nie ma za co. Jestem bardzo zadowolony z tego wszystkiego. Mam przygodę, jaką rzadko dziś można przeżyć na świecie. Nie o to mi chodzi. Blagował pan panią d'Anduston, że wysłała jakąś depeszę, że mówiłem z panem o czekoladzie, że doniosłem mu o podsłuchanej w hotelu rozmowie, że kazał mi pan nie wracać do Abou-Kemalu... Coś podobnego pierwszy raz zdarzyło mi się słyszeć. Co do tego więc pragnę usłyszeć z ust pana wyjaśnienia.

— Ach, to głupstwa. Naturalnie, że depeszy pan nie wysłał. Czytał pan Bogu ducha winien jakiś przegląd radiowy w poczekalni u Fehera, gdy ja przemknąłem się przez nią niepostrzeżony i nadałem depeszę, używającą panią d'Anduston do powrotu. Nie widział mnie pan naturalnie, tak jak też nikt inny.

— Zaczynam się robić ślepy na starość — mruknął Sek.

— Ze pan znalazł w samochodzie czekoladę, zauważyłem w lusterku, umieszczonym nad kierownicą. W hotelu ukradłem ja panu na parę godzin, czego pan nawet nie spostrzegł. Fakt, że podsłuchiwał pan rozmowę pani d'Anduston ze Scanim, wydaje mi się zupełnie pewny, z szafą zaś to był tylko mój domysł, lecz sądzę, że trafny. Wszystko to chyba nie jest zbyt skomplikowane?

— Rzeczywiście, lecz właściwie w jakim celu tak pan blagował?

— Nie rozumiem pan, że chciałem wmówić w nich, że pozostał pan w Bejrucie, że nie ma pan nic wspólnego z tym mistycznym Sekiem, włączającym się po Abou-Kemalu i wprowadzającym w zdenerwowanie wszystkich ludzi pani d'Anduston. Chodziło mi o odwrócenie od pana podejrzeń, by dać panu spokój i tym samym umożliwić mu wydostanie mnie z tych lochów.

(D. c. n.).